

W odpowiedzi na to wyciągnął Wolfgang obie ręce ku staremu i uściśkał go najserdeczniej.

— Przysłuchując się wczorajszej rozmowie, powziąłem dla pana najgłębszy szacunek. Mało już dzisiaj ludzi podobnych panu. Nie dla wszystkich już dzisiaj bywa cześć imienia świętością.

Stary spojrział na Wolfganga i lży mu stanęły w oczach. Ścisnął jego ręce i przez chwilę słowa przemówić nie mógł. Potem otarł pięścią lży w oczach, nalał kieliszki i z żywością zawołał:

— Na cześć, na powodzenie, na długie życie pańskiego przyjaciela a mojego dobroczyńcy. Niech żyje pan Dossenau!

Wypróżnili kieliszki.

— Bardzo to dla mnie zaszczytne i przyjemne, że mnie pan nazywa przyjacielem pana Dossenaua, ale nie chcę, aby pan mylnie sobie tłumaczył powód mojego przybycia. Ja tu przybyłem, przyjąwszy pewne obowiązki i czekają mnie tu zajęcia. Nie jestem tu gościem, lecz wezwanym do pracy.

— A, proszę bardzo pana doktora, więc ja przecież odrazu domyśliłem się tego, ale nie wypadało mi się przyznać. Będzie tu zajęcia dużo, bardzo dużo. Są tu różne zawiśnięte procesy, zatajone zbrodnie. Oho! będzie dla pana doktora nie mała robota!

Było widoczne, że Barlow poczytywał Wolfganga za sędziego śledczego i dlatego się tak ucieszył. W skołataną głowę starca zaświtała nadzieja, że zjawiwszy się tu sędzia śledczy odrazu dociecze prawdy, wykryje mordercę, wykaże niewinność starca. Żal było Wolfgangowi narazić biedaka na rozczarowanie, odebrać mu tę pocieszającą uludę, ale poczucie prawości nie dozwalało mu przedstawiać się pod inną postacią. Więc też łagodnie, żartobliwie rzekł do starogo:

— Jestem doktorem, ale filozofii, a nie prawa. Będę się zajmował badaniem starych ksiąg, starych dokumentów, ale nie zadawnionej zbrodni. Mimo tego miło mi będzie we wszystkim być panu pomocnym.

Barlow posmutniał. Znowu pochylił głowę i głosem rzecznym odezwał się z cicha:

— Dziękuję, bardzo dziękuję za życzliwość. Chociaż pan nie jest sędzią, przecież może posłuchasz tego, jak się to wszystko stało. Z pana człowiek zacny, widzę to dobrze, to panu powiem wszystko, bo to jakoś lżej na duszy, jak się człek wygada przed uczciwym człowiekiem.

— Bardzo dziękuję za zaufanie; posłucham chętnie, ale przedewszystkiem pozwolę sobie zadać panu pytanie, dlaczego pan tak wytrwale tą przedawnioną sprawą się zajmuje, skoro przecież niewinność pańska udowodniona została.

— Moja niewinność udowodniona, lecz to kłamstwo! Wyprostował się, oczy mu dygotały płomieniem, krew na twarz wystąpiła, głos jak dzwon pełny, silny, miał w sobie energię, pochodzącą z gwałtownego uniesienia. Kłamstwo — powiadam panu! Uwolnili mnie dla braku dowodów, ale wciąż im się zdaje, że ja jestem mordercą. Otaczają mnie tu szpiegi dokoła przez lat trzydzieści, bo się ludziom zdaje, że pierwej czy później wyjdzie u mnie coś na jaw, że się czemś zdradzę, odsłonię. Gdyby nie pan Dossenau, nie jego opieka, toby mnie może jeszcze teraz zamknęli do więzienia.

— O ile przysłuchiwałem się wczorajszej rozmowie i wnioskując z tego, co mi pan Dossenau opowiadał, miałem to przekonanie, że opinia publiczna już dawno z tem się pogodziła, że pan jest człowiekiem niewinnym, że istotny zbrodniarz ukrył się przed wymiarem sprawiedliwości.

— Dlatego to właśnie chcę panu wszystko opowiedzieć — mówił Barlow już nieco uspokojony. Oto taka historia: Gdy się wieść rozeszła, że pan Erich Dossenau został w nocy w lesie zastrzelony...

— Zastrzelony? — przerwał doktor — czy krewny, lub brat pana Dossenaua?

— Toś pan o tem nie słyszał? to panu Dossenau nic o tem nie opowiadał? Aha! rozumiem! on tu pana na to sprowadził, abyś pan, panie doktorze, odemnie o wszystkim się dowiedział, bo on

sam nie lubi o tem mówić. Skoro tak, to musimy zacząć od początku. Jest temu panie doktorze lat trzydzieści sześć, jak objąłem obowiązki leśniczego. Wtedy Alltroppen, Dossenau i przyległe folwarki należały do nieboszczyka starszego pana. Doskonały gospodarz, pracowity człowiek, żył oszczędnie, chociaż dostatnio, bo dochody nawet i na zbytki mogły być wystarczające. Nieboszczyk pan mieszkał w pałacu w Dossenau, a nie w tem starem zamczysku. Słynął daleko i szeroko jako człowiek prawy, rzetelny, honorowy; był też i dobroczynny, a właściwie powiedziawszy to troszczył się zawsze bardziej o drugich, niżeli o siebie. Nie tylko nie odmawiał nikomu pomocy, kto się do niego zgłosił, ale nawet wyszukiwał takich, którzyby pomocy potrzebowali. Miał dwóch synów; starszy — pan Curt, obecny mój dobroczyńca, i młodszy — Erich. Między nimi nie było żadnego podobieństwa, jakby nie byli dziećmi jednego ojca i jednej matki. Pan Curt wdał się w ojca; stateczny był zawsze, od lat najmłodszych, oszczędny, dla ludzi hojny, uczynny. Erich był gwałtowny,

kryminalista. Pan Curt uspokajał nieboszczyka i rzecznym płaczem go zaklinał, aby się uspokoił. Jakos tam lokaje podsłuchali, że w owym liście doniesiono nieboszczykowi panu, że pan Erich poszukiwał ludzi, ponapozyczwał pieniędzy na fałszywe weksle i że go zaskarżą do kryminału, jeżeli tej ludzkiej krzywdy zaraz nie wynagrodzi. Dopiero w kilkanaście lat potem dowiedziałem się, że nieboszczyk pan chciał wydziedziczyć pana Ericha i z domu wypędzić; ale pan Curt wyjednał tyle, że nieboszczyk owe fałszywe weksle zapłacił, wszystkie oszustwa załagodził, dał panu Erichowi kilkadziesiąt tysięcy — oświadczając, że tyle mu zostało z całej spuścizny po ojcu, bo właściwie całe swoje dziedzictwo przejechał i przemarnował. No i wyjechał pan Erich. Oficjaliści i służba bardzo się z tego cieszyli, bo teraz lżej było i spokojniej w domu. Pan Curt wyręczał ojca we wszystkim, ostro pilnował porządku w gospodarstwie; jak było potrzeba to umiał nakrzyczeć i pogrozić, ale nikogo nie szkalował, przewiskami nie miotał, niesprawiedliwie się o nic nie cępniał.

Ale stare panisko sposepniało bardzo. Chodził po kątach, jakby czegoś szukał, zaglądał wciąż do pokoju pana Ericha i tak jakoś zeszło kilka tygodni, aż pewnego razu pod wieczór nieboszczyk pan zachorował. Pan Curt posłał zaraz po lekarza; lekarz wyjechał z pałacu jakiś smutny, a lokaj dosłyszał, jak wsiadając do powozu, rzekł do pana Curta: „Ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo udar serca lada chwila nastąpić może“. W kilka dni potem zaszedł pan znowu do pokoju pana Ericha, usiadł na fotelu i rozglądał się po ścianach. Teraz już pan Curt prawie nigdy ojca nie odstępował i dlatego przyszedł za nim do pokoju brata. Nieboszczyk pan spogląda na ściany, to na pana Curta, aż chwytła się ręką za piersi i szepcze: „Słabo mi. Kochałem go bardzo... powiedz mu, że błogosławie i przebaczam, chociaż mnie zabił. Nakazuję ci pod błogosławieństwem ojcowskiem, abys mu nigdy bratem być nie przestawał...“

To były ostatnie słowa nieboszczyka pana, zmarł na udar serca, jak lekarz przepowiedział.

O panu Erichu zaginęły wieści, nie dawał o sobie żadnej wiadomości, aż dopiero na pogrzeb ojca przyjechał.

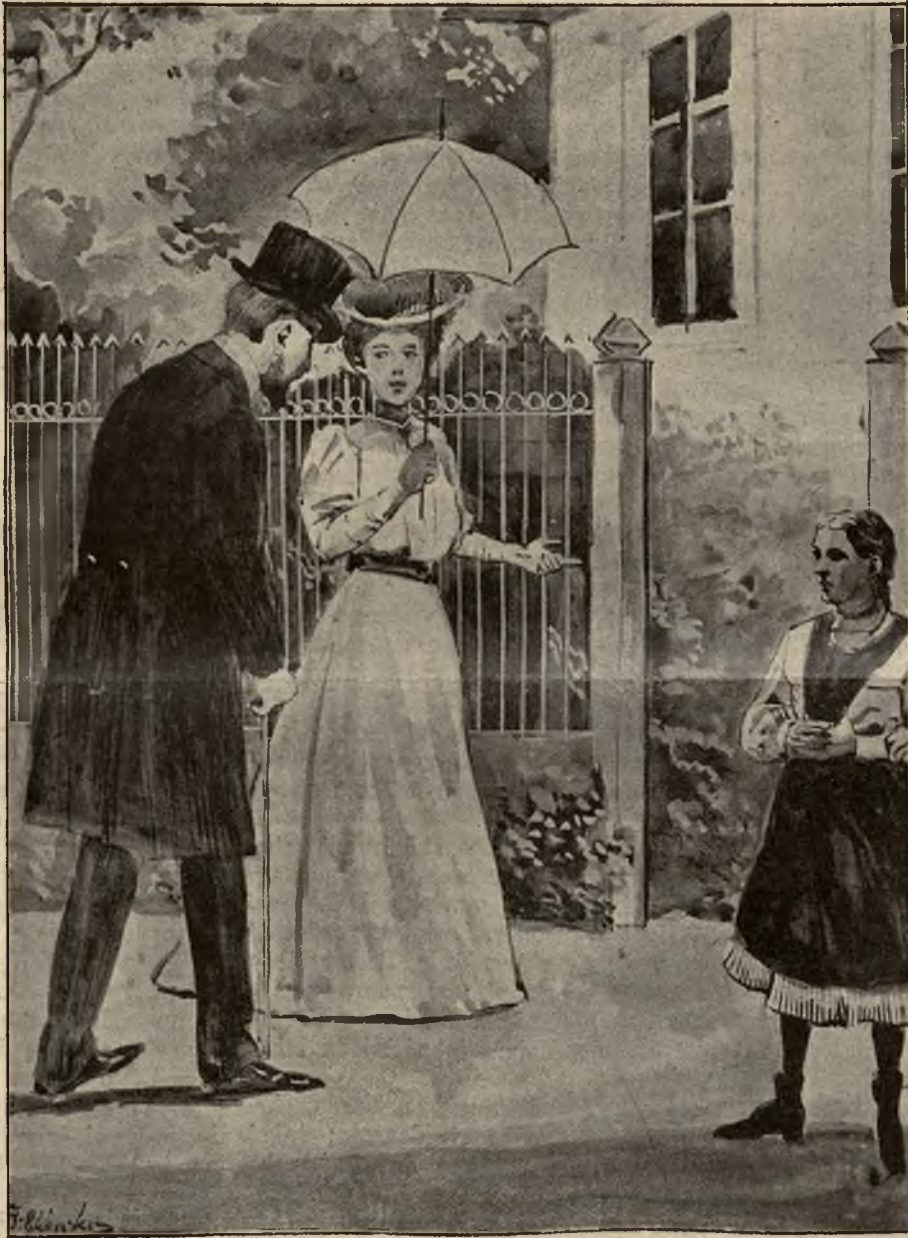
Po pogrzebie został już w Dossenau i tak rozporządzał, jakby on tu był panem, a nie brat starszy. Pan Curt był dla brata pobłażliwy, na wszystko pozwalał. Nie mogłem tego nigdy zrozumieć, jak ci dwaj bracia, tak do siebie niepodobni, pod jednym dachem w spokoju i zgodzie żyć mogli.

W kilka miesięcy po śmierci starszego pana, znowu pan Erich wyjechał, znowu przez pół roku tłukł się po świecie, hulał, grosz marnował, dopóki stało gotówki, w którą go pan Curt zaopatrzył, dopóki starczyło kredytu. Gdy się wyczerpało jedno i drugie, wrócił do Dossenau, jeszcze zjadliwszy niż dawniej. Teraz zaczął mnie prześladować.

Starzec przerwał opowiadanie, jakby zmęczony; wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się. Wolfgang nie przerywał i dość długo trwało milczenie. Niespodzianie zerwał się Barlow, wyprostował, o czy mu się zaiskrzyły i zawołał głosem prawdziwie groźnym:

— Czego ten człowiek chciał odemnie? Chciał mnie uczynić złodziejem, oszustem. Raz przychodził jacyś nieznajomi ludzie do lasu, mierzają drzewa; pan Erich zjawia się, oprowadza po tych miejscach, gdzie drzewostan był najstarszy. Zdziwiło mnie to bardzo, ale przy obcych nie chciałem pana Ericha o nic pytać; zachowywałem się wobec niego z uszanowaniem, jak wobec brata mego pryncypała. Ponieważ pan Erich do mnie nic nie mówił, oddaliłem się, a przy wieczornym raporcie miałem o tem powiedzieć panu Curtowi. Tymczasem, jakoś koło południa, przychodzi do mnie Erich i powiada, że sprzedał handlarzom sto kłóców w lesie i rozkazuje mi, abym to drzewo dał zrabować.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Oto mieszkanie mojego ojca. Może go pan zechce odwiedzić?

lekkomyślny, grosza nie szanował, długi zaciągał. Nie lubili go oficjaliści i służba, bo był dla wszystkich opryskliwy i cierpki. Starszy pan upominał go, powściągał. Kończyło się na tem, że p. Erich przyrzekał ojcu poprawę, dostawał pieniądze na zapłacenie długów, wyjeżdżał do miasta, żeby je popłacić, bawił się tam doskonale, nowe długi zaciągał, a gdy już wszystko wydał do ostatniego feniga, wracał do domu w jednym ubraniu, które miał na sobie.

Nieraz to starszy pan gorzko na to zapłakał, ale pan Curt zawsze brata osłaniał, bronił i biednego ojca pocieszał. Nie wiem, co się to stało, dość że pewnego razu pan Erich wyjechał nagle z domu i nikt nie wiedział: dokąd. Służba pokojowa szeptała między sobą, że jakieś straszne działy się rzeczy. Starszy pan dostał z poczty list; gdy go przeczytał, krzyknął przeraźliwie, potem chodził po swoim pokoju, głową bił o ścianę. Gdy to stary lokaj zobaczył przez szparę we drzwiach, pobiegł zaraz do pana Curta i powiedział o wszystkim. Szczęście, że pan Curt był w pałacu, bo kto wie, co by się tu było stało. Pobiegł zaraz do ojca i coś widać nie lada rzecz się działa, bo nieboszczyk pan wciąż wykrzykiwał: „Złodziej, oszust,